

Stefania Jagielnicka-Kamieniecka

Marzycielka



Stefania Jagielnicka-Kamieniecka

Marzycielka

Wydawnictwo Psychoskok

Konin 2017

Stefania Jagielnicka-Kamieniecka
„Marzycielka”

Copyright © by Stefania Jagielnicka-Kamieniecka 2017

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o. o.
2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Robert Rumak

Zdjęcie okładki © Fotolia - cristina_conti

Korekta: Emilia Ceglarek

Skład: Agnieszka Marzol

ISBN: 978-83-8119-073-2

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>
<http://www.psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

ROZDZIAŁ 1

Rysiek Rutkiewicz. To imię i nazwisko nie schodziło z ust bywalców Kąpieliska Miejskiego w Bytomiu, ponieważ jego właściciel był tajemniczą postacią. Młodzieniec ów wyróżniał się nie tylko urodą, lecz również ubiorem i zachowaniem. Wysoki, atletycznie zbudowany brunet, ze sfalowanymi, zaczesanymi do tyłu włosami zakrywającymi kark, regularnymi rysami twarzy i ogromnymi, malachitowymi oczami okolonymi rzęsami marzyciela, wywołującymi westchnienia dziewcząt. Przyjeżdżał na luksusowym, białym rowerze. Skąd on go wytrzasnął? Nikt nie miał takiego. Chodziło się po mieście pieszo. Samochody też rzadko widziało się na ulicach. Jeden rozklekotany, stary tramwaj jeździł krótką trasą, od początku ulicy Piekarskiej do kościoła Najświętszej Trójcy w pobliżu Rynku, czyli placu Stalina.

Rysiek nosił kolorowe, sportowe koszule, idealnie wyprasowane. Składał je starannie na czystym, żółtym kocu, wraz z lnianymi białymi spodniami. Zostawiał ubranie na trawniku i wchodził do basenu. Wszyscy stawali na brzegu i przyglądali się jego pływackim wyczynom. On jednak nic sobie z tego nie robił. Po wyjściu z wody wracał na koc, ubierał się, wsiadał na rower i opuszczał kąpielisko.

Piętnastoletnia Krysia nigdy dotąd nie widziała tak atrakcyjnego mężczyzny. Nawet w filmach. Wpatrywała się w niego jak w bóstwo. Odnosiła wrażenie, że jego głowę otacza aureola, jak na obrazkach świętych. Marzyła o nim dniami i nocami.

Zaczęło się od wypowiedzianego kiedyś mimochodem przez jej babkę stwierdzenia, które zakonotowała: „Jeżeli człowiek czegoś pragnie, musi o tym nieustannie marzyć, żeby to osiągnąć”. Lubiła marzyć. Ot tak, dla samej przyjemności. Nie sądziła, że może to mieć wpływ na jej losy. Lecz od tej chwili zaczęła poważnie traktować swoje marzenia, nie zważając na to, że nie są zbyt realne. Jednak istniała chyba szansa spełnienia przynajmniej tego, aby poznać Ryśka Rutkiewicza?

Były wakacje. Po powrocie od ciotki mieszkającej w Sopocie co dzień chodziła na kąpielisko w Parku Miejskim, w rodzinnym mieście Bytomiu. Kochała je, dumna była z jego historii i wolnościowych tradycji. Czuła się bytomianką, lecz nie Ślązaczką, ponieważ jej rodzice pochodzili ze Lwowa. Zostali repatriowani, jak to się określało, a oznaczało wypędzenie z domu na Wschodzie z dwoma walizkami. Ci wydaleneni po wojnie ze wschodnich terenów Polski stanowili większą część mieszkańców Bytomia. Różnili się pozytywnie od Ślązaków. Wielu z nich należało do elity miasta. Zajęli miejsce przesiedlonych Niemców. Jednak ów wspaniały, piękny Lwów z rzewnych wspomnień rodziców był Krysi obcy. Zrosła się z zadymionym pejzażem górniczego Bytomia, z charakterystycznymi szybami kopalnianymi na horyzoncie, które pojawiały się na wszystkich jej szkolnych rysunkach.

Rysiek Rutkiewicz, podobnie jak ona, co dzień zjawiał się na kąpielisku. Mógł mieć już dwadzieścia lat, lecz jej nie interesowali rówieśnicy ani też inni szarzy, nieciekawi młodzieńcy spotykani na co dzień. W ponurej peerelowskiej rzeczywistości rzadko pojawiały się takie postacie jak Rysiek. W Bytomiu stanowili je artyści Opery Śląskiej, repatriowani świetni śpiewacy Opery Lwowskiej. Każdy i każda z nich stawali się legendą, obrastali mitami. Najbardziej malowniczy wygląd miał reżyser Fotygo-Folański. Ów zgrzybiały starzec z długimi białymi włosami, związanymi w kucyk, nosił dziewiętnastowieczny strój i podpierał się laseczką z artystyczną mosiężną główką. W chłodne dni wkładał pelerynę i malarski beret z kokardą.

Od starszej kuzynki Krysia dowiedziała się, że artyści spotykają się w kawiarni „Hel” położonej w pobliżu opery, przy ulicy Moniuszki, przy której usytuowane były też dwa najokazalsze w mieście, secesyjne budynki: Opery Śląskiej i szkoły muzycznej. Jednak nigdy nie odważyła się zajrzeć do tej kawiarni. Gdy spotkała przypadkiem na ulicy jakiegoś śpiewaka lub śpiewaczkę, z wrażenia ugięła się pod nią nogi. Znała ich ze sceny. Od dziewiętego roku życia co dzień chodziła do opery. Zabierała ją ze sobą sąsiadka, która pracowała tam jako garderobiana na balkonie. Stawiała dla Krysi stółek w przejściu

między rzędami, tuż przy balustradzie, skąd dziewczynka miała doskonały widok. Zafascynowana siedziała do końca przedstawienia. Nie rozumiała dokładnie treści, chociaż w tych czasach nie śpiewano oper w językach kompozytorów, tylko w polskim tłumaczeniu. Jednak muzykę chłonęła nie tylko uszami, lecz całym sercem. Czasami ze wzruszenia spływały jej po policzkach łzy. Tutaj po raz pierwszy odczuła podniecenie seksualne podczas oglądania baletu „Nocy Walpurgii” w operze „Faust”. To opera ukształtowała świat jej uczuć i marzeń.

Nazajutrz po powrocie ze szkoły odgrywała fragmenty spektaklu w pustej w ciągu dnia sypialni. Patrzyła przy tym na obraz Matki Boskiej wiszący nad połączonymi łóżkami rodziców. Dziwiło ją, że z każdego punktu pokoju odnosi wrażenie, iż Madonna patrzy jej prosto w oczy.

Gdy ujrzała Ryśka po raz pierwszy, spytała kuzynkę, z którą przysłała na basen, kim jest ten wspaniały mężczyzna.

– Nie wiesz? – zdziwiła się Ela. – To Rysiek Rutkiewicz.

– A kto to taki?

– Niebieski ptak – zaśmiała się jej kuzynka. – Jest tajemniczą postacią. Nikt nic o nim nie wie. Tyle tylko, że nazywa się Rysiek Rutkiewicz. To wszyscy wiedzą.

W ówczesnej propagandzie określenie „niebieski ptak” brzmiało jednoznacznie pejoratywnie. Była to ulubiona figura, obok bikiniarzy czy spekulantów, stosowana wobec rozmaitych „szkodników” odstających od przyjętych w PRL-u norm. Słowem takim określało się lekkoducha, pasożyta, trutnia. Byli to ludzie, którzy świadomie lub nie, poszerzali na swoje sposoby przestrzeń wolności. Dzięki którym ówczesne życie było trochę znośniejsze, barwniejsze.

Niestety, marzenie poznania Ryśka Rutkiewicza nie spełniło się. Przyglądała mu się z daleka. Nie śmiała nawet zbliżyć się do niego, więc jakżeby miało się spełnić? Podczas następnych wakacji nie przyjeżdżał już na basen, lecz wciąż pojawiał się w jej wyobraźni. W błękitnej koszuli i białych lnianych spodniach, opromieniony

aureolą tajemniczości. Zastanawiała się często, co mogło się z nim stać. Brzmiały jej wówczas w uszach słowa jednego z przebojów: *Niebieskie ptaki do paki*. Nie mogła znieść myśli, że ów niezwykle młodziwiec siedzi w więzieniu. Pocieszała się jednak, że może po prostu przeniósł się do innego miasta. Marzyła o tym, by go jeszcze kiedyś spotkać.

ROZDZIAŁ 2

Najbardziej lubiła marzyć w lecie, gdy po błękitnym niebie chyłkiem przemykały obłoczki. Na łonie bujnej natury Parku Miejskiego, w którym rosły stuletnie drzewa, głównie liściaste: kasztany, dęby, klony, topole, pachnące akacje, buki, wierzby. Przychodziła tu od początku wiosny aż do późnej jesieni. Zawsze z książką. Siadała na ławce pod ogromnym kasztanem. Czasami uczyła się, czasem czytała, ale najczęściej poddawała się marzeniom, słuchając śpiewu ptaków i szumu liści.

Kiedyś w jakimś kobiecym piśmie przeczytała artykuł, z którego dowiedziała się, że między ludźmi i drzewami istnieje ścisła więź. Każdy człowiek, w zależności od daty urodzenia, posiada swoje osobiste drzewo, które towarzyszy mu przez całe życie. Przed dwoma tysiącami lat Celtowie opracowali horoskop bazujący na różnych gatunkach drzew, odmiennie niż powszechnie znany horoskop astrologiczny oparty na Zodiaku. Uważali, że każdy ma swojego przedstawiciela w jednym z drzew. Są drzewa ozdobne i skromne, delikatne i mocne, rosące w większych skupiskach i samotne – podobnie jak ludzie. Zapamiętała, że drzewem charakteryzującym ludzi urodzonych, tak jak ona, między piętnastym a dwudziestym czwartym maja, jest kasztan. Osoby z nim związane są bardzo zmysłowe, ponieważ jednak przywiązują dużą wagę do zasad moralnych, nieco purytańskie. Sądzą, że jedyny sposób na zaspokojenie ich potrzeb erotycznych stanowi małżeństwo.

O tak. Najczęściej marzyła o miłości i szczęśliwym małżeństwie z Ryśkiem Rutkiewiczem, z dwójką dzieci, chłopczykiem i dziewczynką. Modliła się, by go kiedyś poznać i rozkochać w sobie.

Od dziecka pragnęła być kimś niezwykłym, mieć barwne, atrakcyjne życie na szczytach jakiejś kariery. Zostać aktorką lub śpiewaczką operową albo wybitną pianistką. A może pisarką? Trudno jej jednak było uwierzyć, że jest to możliwe. Miała wprawdzie marzące, słodko-czekoladowe oczy z długimi rzęsami, czarne, gęste włosy, splecione w gruby warkocz, jasną, alabastrową cerę, ale – niestety – okazał się orli nos i zbyt szerokie usta. Najbardziej martwiła ją chłopięca figura z wąskimi biodrami, szerokimi ramionami i małymi piersiami, a przy tym była za niska na aktorkę. Pisać potrafiła tylko wypracowania z języka polskiego, za które zawsze dostawała piątkę. Ale nigdy nic innego nie napisała. Nie prowadziła nawet pamiętnika. Uczyła się wprawdzie gry na fortepianie, lecz nie wykazywała specjalnego talentu. Nie umiała też zbyt pięknie śpiewać.

Czytała w tym czasie wiele powieści. Zapisała się do biblioteki, z której wypożyczała wszystkie książki po kolei, jak leci. Napisać powieść! Stanowiło to jedno z jej marzeń. Ale jak? Nawet nie próbowała. Jednak było to tak silne pragnienie, że okłamała szkolną koleżankę Irkę, iż pisze książkę. Co dzień, gdy po lekcjach wracały do domu, opowiadała jej kolejne dzieje bohaterki czytanej aktualnie powieści, podszywając się pod jej autorkę. Irka podziwiała ją i wróżyła jej karierę literacką. Krysię dręczyły wyrzuty sumienia z powodu tej obrzydliwej mistyfikacji, lecz bała się do niej przyznać. Pewna była, że Irka ją potępi, oburzy się na nią. W końcu wypowiedziała się z tego. Ksiądz nakazał jej wyprowadzenie przyjaciółki z błędu.

– Zerwanie przyjaźni będzie stanowić pokutę za ten grzech – pouczył.

Więc po długim wahaniu powiedziała Irce prawdę. O dziwo, koleżanka przeszła nad tym do porządku dziennego, nie robiąc jej najmniejszych wyrzutów. Krysia była tym wzruszona.

– Naprawdę, nie masz mi tego za złe? – spytała drżącym głosem.

– No coś ty? Poznałam bardzo fajną książkę... Też chciałabym czytać i marzyć, tak jak ty. Tylko wiesz, ja nigdy nie mam na to

czasu. Wolę, żebyś mi to wszystko opowiadała. Ty wciąż o czymś marzysz. A ja... Nieraz, po odrobieniu lekcji siadam, żeby sobie pomarzyć, i od razu przypomina mi się, że mam coś ważnego do zrobienia.

Odtąd Irka stała się jej najlepszą przyjaciółką, którą wyciągała do kina na francuskie i włoskie filmy, jedyne zachodnie w kinie „Bałtyk”. Poza nimi wyświetlano tylko radzieckie i polskie. Jednak Irka bardziej lubiła słuchać opowiadania przyjaciółki o czytanych aktualnie powieściach. Ta zaś zazdrościła jej rodziców, ojca architekta i matki, prawdziwej damy z polakierowanymi na czerwono paznokciami. To też było jedno z marzeń Krysi. Mieć takich rodziców! Tymczasem jej ojciec pracował jako elektryk w kopalni „Rożbark”, a matka była krawcową. Jednak mimo wszystko bardzo ich kochała. Zwłaszcza mamusię, która zawsze tryskała humorem i podśpiewywała sprośne piosenki. Sama je chyba wymyślała, jak na przykład tę:

*Ludzie mówią, ludzie twierdzą,
że u chłopów jaja śmierdzą,
a ja biedny nie wiem sam,
czym je perfumować mam.*

Podśpiewywała sobie tylko, gdy były same, bo kiedyś wyrwało się jej przy ojcu, a ten skarcił ją, że to nieodpowiednie dla uszu dorastającej dziewczynki. Lecz Krysi podobały się te piosneczki. Śmiała się z nich nieraz do rozpuku, a jej mama cieszyła się z tego, bo bardzo lubiła trochę pożartować, w odróżnieniu od poważnego ojca.

ROZDZIAŁ 3

Ukończyła właśnie szesnaście lat, gdy pewnego dnia, po powrocie ojca z pracy, rodzice wyjęli z szuflady komody jakieś papiery i rozłożyli je na stole. Uderzyły ją ich poważne, uroczyste miny.

- Jesteś już na tyle duża, że postanowiliśmy powiedzieć ci prawdę – rzekł ojciec, spuszczać wzrok z wyraźnym zakłopotaniem.
- Zostałaś przez nas adoptowana jako trzyletnia sierotka. Twoi rodzice byli nieznanymi.

Krystyna zbladła. Przed jej oczami wszystko zaczęło tańczyć.

- Wiesz, jak bardzo cię kochamy, dlatego nie mogliśmy cię dłużej okłamywać – dodała matka. - W wieku dojrzewania różne myśli przychodzą dziecku do głowy. Pewnie zauważyłaś, że nie jesteś do nikogo z naszej rodziny podobna. Nikt nie ma takich ciemnych oczu i włosów jak ty. Musieliśmy ci to w końcu powiedzieć.

Dziewczynka usiadła przy stole, pochyliła się nad papierami, lecz nic nie mogła przeczytać, bo przed oczami latały jej czarne pląty.

- I nic nie wiadomo o mojej... mamie – spytała drżącym głosem, ciężko oddychając – tej niby prawdziwej?

- Absolutnie nic. Poczytaj sobie.

- Wy jesteście moimi rodzicami! – krzyknęła nagle. - Nie interesują mnie te papiery. Taka matka, która nie chce swojego dziecka, nie jest matką! Ona mnie obchodzi tyle, co zeszłoroczny śnieg! - Mocno objęła swoją mamusię. - Kocham was tak samo, jak wy mnie. Szkoda tylko, że nie mam siostrzyczki albo braciszka. Może mam, tylko nigdy ich nie poznam – posmutniała.

- Jedno z nas musi być bezpłodne, bo bardzo pragnęliśmy dziecka. - Rozłożył bezradnie ręce jej ojciec. - W końcu postanowiliśmy adoptować jakąś dziewczynkę. Pojechaliśmy do Domu Dziecka w Szopienicach i od razu zdecydowaliśmy się na ciebie. Byłaś taka śliczna, uśmiechałaś się do nas. Wyciągnęłaś do mamci ręce i powiedziałaś „mama”. A jej ze wzruszenia popłynęły z oczu łzy.

- Ta... kobieta nigdy nie chciała mnie przynajmniej zobaczyć?
- spytała dziewczynka drżącym głosem, ukrywając wzburzenie.

- Nie mogła – odpowiedział ojciec. - To niemożliwe. Musiała podpisać taką... blankietową anonimową zgodę. Oznacza ona, że oddający dziecko do adopcji nie zna i w przyszłości nie będzie znał

danych osób adoptujących jego dziecko. My też nie otrzymaliśmy żadnych informacji o twojej biologicznej matce. W akcie urodzenia to my jesteśmy wpisani jako twoi rodzice.

– Nie szkodzi. To mnie w ogóle nie interesuje. Mam kochanych rodziców i żadnej wyrodnej matki nie chcę znać – zakończyła rozmowę na ten temat.

Przed rodzicami trzymała fason, pozornie bagatelizując tę wiadomość, jednak w jej wnętrzu wszystko bulgotało. Nie była w stanie jeść, gdy usiedli do kolacji.

W nocy długo nie mogła usnąć. Myślała o swojej biologicznej matce, nie osądzając jej już tak surowo.

Nie wiadomo, dlaczego zmuszona była mnie oddać. Mogła być w tragicznej sytuacji. Może została zgwałcona. A może była alkoholicką albo, co nie daj Boże, prostytutką. No, nie wiadomo. Lepiej nie wiedzieć, jaka była... Ciekawe, czy jestem do niej podobna? Prawdopodobnie. Szkoda, bo wolałabym być blondynką i mieć taką kobiecą figurę jak mamusia.

Teraz dopiero tak naprawdę uświadomiła sobie, jak bardzo kocha rodziców – uczciwych, pracowitych ludzi. Od tego czasu przestała zazdrościć Irce. Jej matka ją urodziła, więc kochała jako własne dziecko. Natomiast jej rodzice obcą dziewczynkę pokochali jak swoją. Wszystkiego się dla niej wyrzekali, żeby kupić pianino i opłacać jej prywatne lekcje gry na fortepianie. Matka po nocach szyla dla niej śliczne sukienki. Nigdy za nic jej nie karali, na wszystko jej pozwalali, w odróżnieniu od rodziców Ireny, którzy trzymali ją krótko.

Postanowiła więcej o tym nie myśleć. Wciąż jednak nachodziły ją różne myśli o biologicznych rodzicach. W jej rodzinie byli sami prości ludzie z podstawowym wykształceniem. Tymczasem ona chodziła do liceum, miała dobre stopnie, choć nie poświęcała zbyt wiele czasu na naukę. Nikt w jej rodzinie nie czytał książek, nikt nie grał na żadnym instrumencie, nikt nigdy nie był w operze... No i w ogóle, zupełnie do nich nie pasowała. Miała inne geny, odziedziczyła widocznie zdolności i zamiłowania po biologicznych

rodzicach. Coraz częściej ogarniała ją tęsknota za nieznaną rodziną. Może ten Rysiek Rutkiewicz to jej krewny i dlatego tak bardzo jest nim zafascynowana? Może nawet jej brat?

Chyba dlatego czuła się wyobcowana, jakby była kimś zupełnie innym niż otaczający ją ludzie, jakby należała do innego świata. W miarę dorastania często odnosiła wrażenie, że wszystko, co dzieje się w jej życiu, przeszłość i teraźniejszość, jest nieistotne, nie ma zbyt dużego znaczenia w tej prawdziwej rzeczywistości rozgrywającej się poza zasięgiem jej świadomości. Głowiła się nieustannie, jakie jest to ważne, prawdziwe życie. Czytała tak wiele różnych książek, a jednak wciąż odnosiła wrażenie, że to nie „To”, że tak naprawdę chodzi o coś zupełnie innego. Często pogrążała się w zadumie. Czuła, wyraźnie czuła, że istnieje coś bardzo ważnego, czego ludzie nie są w stanie odkryć. Najczęściej było to ukryte w muzyce, czasami w poezji. Ale czym owo „To” mogło być? Przekonana była, że znalazłaby je, gdyby spełniły się jej marzenia. Widocznie miała je w genach po biologicznych rodzicach, którzy musieli być artystami, a przynajmniej jedno z nich. Ale jak miały się spełnić? Chciała być kimś wybitnym. Tymczasem nie miała żadnego talentu. Dobre stopnie to za mało, żeby zostać kimś niezwykłym. Z nauki gry na pianinie nic nie wychodziło, nauczyciel wciąż się na nią złościł. Próbowwała ostatnio pisać pamiętnik i też jej to nie najlepiej szło. O miłości mogła tylko marzyć. Ten Rysiek Rutkiewicz nawet na nią nie spojrział. Tak, jedyne, co jej pozostało, to marzenia, które chyba nigdy się nie spełnią. Zostanie starą panną, po maturze pewnie nie dostanie się na studia i czeka ją jałowe życie urzędniczek.

ROZDZIAŁ 4

Marzenia Krysi nieustannie się zmieniały. Nie była w nich wytrwała. Raz chciała być aktorką, raz śpiewaczką, a raz pianistką. Gdy dochodziła do wniosku, że któreś nie ma szansy spełnienia, zastępowało je następne. Tylko to jedno, by zostać pisarką, prześladowało ją najuporczywiej. Czasami inne pragnienie odsuwało je na dno świadomości, by po pewnym czasie ni stąd, ni zowąd

wybuchnąć z całą mocą. Choć nic nie wskazywało na to, żeby mogło się ziścić. Wciąż nie znajdowała ani pomysłu, ani czasu na pisanie.

Chodziła do żeńskiego liceum, więc zapraszano na zabawy uczniów liceum męskiego. Miała powódzenie, lecz nie umawiała się na randki. Nie interesowali jej chłopcy w jej wieku. Były to jedyne dwa w Bytomiu licea starego, przedwojennego typu. Poza nimi istniały koedukacyjne komunistyczne licea Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Zarówno jej, jak i Irki rodzice pochodzili ze Lwowa i mieli antyreżimowe nastawienie, więc posłali córki do liceum nazywanego „klasztorem”, chociaż TPD-owskie znajdowało się w pobliżu. Musiały chodzić w granatowych mundurkach z białymi kołnierzykami i z tarczą na ramieniu przedstawiającą numer oraz emblemat szkoły.

Przedwojenni nauczyciele przemycali religijne i patriotyczne treści, które chłonęły całym sercem, ponieważ w domu też były wychowywane w tym duchu. Jednak rzadko udzielała się im frustracja rodziców narzekających na PRL-owską rzeczywistość. Spokojnie usypiały przy buczeniu zagłuszanej „Wolnej Europy”, którą ich młody wychowawca, uczący historii, nazywał „szczekaczka”. On niestety i dyrektorka szkoły byli zagorzałymi komunistami, co dręczyło je nieraz schizofrenicznym rozdwojeniem, ponieważ obojga lubiły. Na szczęście młoda, śliczna pani od rosyjskiego nie usiłowała ich indoktrynować. Nazywały ją Tatianą, gdyż pięknie czytała na głos list Tatiany do Oniegina i uczyła ich starych rosyjskich ballad. Jednak po roku zastąpiła ją wredna, gruba Rosjanka nazywana przez nie „sobaką”. Teraz musiały śpiewać hymn Związku Radzieckiego i inne sowieckie pieśni, jak na przykład „Pławno Amur свои wołny niesiot”. Krystyna najbardziej lubiła lekcje języka francuskiego. Uwielbiała Gerarda Philipa i filmy, w których występował. Lubiała też nauczycielkę nauczającą tego języka. Była to atrakcyjna, szykowna paryżanka. Jej polscy rodzice jako komuniści zmuszeni byli przed wojną wyemigrować do Francji i dopiero po niej powrócili do Polski. Najwięcej dowiedziała się od niej o Paryżu, który był jej ukochanym miastem. Na podstawie jej opowiadań również je pokochała. Z tego powodu pilnie uczyła się języka francuskiego i marzyła, żeby kiedyś

zobaczyć te cuda na własne oczy. Było to jej kolejne marzenie. Marzenie ściętej głowy!

Kiedys siedziała na ławce parku i powtarzała materiał z geografii, szczególnie zagłębiła się w rozdział o stolicy Francji. Po jakimś czasie odłożyła podręcznik i... znalazła się na *Gare du Nord*. Rozpierała ją radość. Panował niesamowity ruch i gwar. Sprzedawcy gazet wykrzykiwali tytuły najświeższych wiadomości. Mrowie ludzi zmierzało do wyjścia. Jedni wykrzykiwali jakieś nazwiska, inni padali sobie w ramiona. Wokół wirowały słowa brzmiące dla jej ucha jak muzyka. Powoli przeciskała się w tłumie wzdłuż hali do wyjścia. Gdy stanęła przed dworcem, wzrok jej padł na sklep z napisem *Fleurs*. Spozobregła przed nim wielobarwne kwiaty. Weszła do środka, gdzie oszołomił ją zapach jaśminów i bżów. Kupiła jedną szkarłatną różę i wpięła ją we włosy. Po wyjściu z kwiaciarni znalazła się na ruchliwym *Place de Roubaix*. Przyglądała się oryginalnie ubranym, mocno umalowanym dziewczynom i innym przechodniom, a także luksusowym samochodom i autobusom. Po chwili przeszła na drugą stronę i ruszyła przed siebie. Wkrótce znalazła się w labiryncie małych uliczek. Słońce oświeślało ich piękne, barwne fasady. Mijała liczne butiki, pożerając wzrokiem wystawy. Przed sklepami spożywczymi wystawione były stragany z owocami i jarzynami. Nad nimi zwiślały zioła i bukiety wielobarwnych kwiatów. Kobiety robiły zakupy, przystawały ze znajomymi na pogawędkę. Z małej kafejki unosił się zapach świeżo parzonej kawy i świeżych *croissantów*. Zamierzała do niej wejść i... ocknęła się. Znowu siedziała na ławce w parku.

Jej liceum to istotnie był „klasztor”. Żadnej z dziewcząt nawet do głowy nie przyszołoby malowanie się, palenie papierosów czy picie alkoholu. Nawet na balu maturalnym nie mogło być o tym mowy. Tyle tylko, że wystroili się i włożyły buty na wysokich obcasach. Mama uszyła jej piękną sukienkę z błękitnej tafty, rozkloszowaną i obcisłą w talii, z małym dekoltem, a ojciec ofiarował zrobione na zamówienie u szewca czarne „czółenka”, jak nazywano buty na wysokim obcasie, podobne do późniejszych szpilek, z tą różnicą, że miały grubsze obcasy.

Spis treści

ROZDZIAŁ 1	4
ROZDZIAŁ 2	7
ROZDZIAŁ 3	9
ROZDZIAŁ 4	12
ROZDZIAŁ 5	18
ROZDZIAŁ 6	24
ROZDZIAŁ 7	29
ROZDZIAŁ 8	32
ROZDZIAŁ 9	34
ROZDZIAŁ 10	38
ROZDZIAŁ 11	44
ROZDZIAŁ 12	54
ROZDZIAŁ 13	61
ROZDZIAŁ 14	66
ROZDZIAŁ 15	71
ROZDZIAŁ 16	75
ROZDZIAŁ 17	82
ROZDZIAŁ 18	90
ROZDZIAŁ 19	93
ROZDZIAŁ 20	99
ROZDZIAŁ 21	105
ROZDZIAŁ 22	111
ROZDZIAŁ 23	116
ROZDZIAŁ 24	120
ROZDZIAŁ 25	128
ROZDZIAŁ 26	131
ROZDZIAŁ 27	134
ROZDZIAŁ 28	139
ROZDZIAŁ 29	144
ROZDZIAŁ 30	147
ROZDZIAŁ 31	153
ROZDZIAŁ 32	155
ROZDZIAŁ 33	158

ROZDZIAŁ 34	161
ROZDZIAŁ 35	166
ROZDZIAŁ 36	172
ROZDZIAŁ 37	175
ROZDZIAŁ 38	178
ROZDZIAŁ 39	184
ROZDZIAŁ 40	191

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

